Nr. 11. We Lwowie dnia 28. Listopada 1873. **Rok XI.**



NASZYCH.

Wychodzi trzy razy na miesiąc każdego 5, 15, 25 we Lwowie. — Kosztuje rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr. a wszystkie szkółki ludowe płacą tylko 4 złr. rocznie. **Adres:** Administracja „Opiekuna Dzieci“ Lwów 39¼.

Matka i syn.

Powieść historyczna.

W owym czasie podróż nie była tak szybką, ani wygodną jak dzisiaj, trzeba było brać ze sobą nietylko pożywienie ale i pościel; to też ludzie nie tak łatwo za byle czem ruszali się z domu, i pani Strzemska od lat kilkunastu siedząc spokojnie u siebie, raz tylko jeden w ciągu tego czasu była w Stanisławowie, miasteczku o kilka mil odległem, dla załatwienia koniecznego interesu. Jechali tedy nasi podróżni powoli, bo droga była górzysta, a bryczka ciężko obładowana.

W trzecim dniu takiej podróży, stanęli z południa w posiadłości pana Kasztelana. Pani Strzemska nie zajechała do dworu, lecz się zatrzymała u podstarościego, i ztamtąd udała się wprost do pana marszałka, któremu opowiedziała cel swej podróży, prosząc by uwiadomił o jej przybyciu JW. Kasztelana. Marszałek, który już wiedział o spodziewanym nowym dworzaninie, zaprowadził matkę z synem do wyznaczonego mieszkania, opatrzywszy suto w przyzwoitą żywność, oświadczając, iż dnia następnego rano przedstawi młodego Krzysztofa JW. Panu; jakoż nazajutrz przedstawił Strzemskiego z matką panu Kasztelanowi.

Z nieśmiałością i obawą zarazem, przypatrywała się pani Strzemska wspaniałej sali wysłanej dywanami, licznej służbie i hucznej muzyce, która dnia tego przygrywała w zamku, a lubo pan Kasztelan nie był wielkim panem, i miał tylko, jak to wówczas nazywano drążkowe krzesło w senacie, dla biednej naszej wdowy wydał się on wielce zamożnym potentatem, i cieszyła się w duszy, iż potrafiła umieścić syna w tak wielkim i wspaniałym dworze. A gdy prócz tego Kasztelan, któremu młody dworzanin od pierwszego podobał się wejrzenia, darował mu tegoż jeszcze dnia konia z rzędem, za to, że sprowadzonego niedawno rumaka z tabunu dosiadł śmiało i ujeździł. Strzemska nie posiadała się z radości.

Gdy przyszło do rozstania, Krzysztof padł do nóg matce, prosząc o błogosławieństwo; pani Strzemska udzieliła mu je ze łzami, a zdjąwszy z szyi medalik z Matką Boską Częstochowską, zawiesiła go na piersiach ukochanego syna, i płacząc rzewnie a polecając go ciągle tej najpierwszej

naszej Opiekunce i Pocieszycielce, smutna powróciła do domu.

Ale smucić się nie było czego; tęskniła wprawdzie matka za Krzysztofem, ale wiedziała że mu się dobrze dzieje i że ma piękne na przyszłość widoki; miewała od niego dosyć częste wiadomości, raz nawet gdy zaniemogła, a on dowiedział się o tem przypadkowo, prosił natychmiast Kasztelana o pozwolenie wydalenia się, i całe dwa tygodnie z matką przepędził.

Co to była za radość biednej kobiety, gdy tak nagle i niespodziewanie pojawił się ukochany Krzysztof w jej domu, a co znowu za żal i smutek, gdy mu przyszło odjeżdżać, to już i opisać trudno. Lubo zaś serce pani Strzemskiej pękało z żalu, nie zatrzymywała przecież syna dłużej u siebie (bo wiedziała że powinien pełnić swe obowiązki sumiennie), ale jakby przeczuwając, że go więcej w tem życiu nie obaczy, całowała, przyciskała do piersi i żegnała, rzewnemi oblewając łzami, i chociaż syn obiecywał, że nie długo, bo tej jeszcze jesieni, gdy Kasztelan pojedzie na ślub swej siostrzenicy, on na parę tygodni odwiedzi znów matkę, pani Strzemska zdawała się słów tych nie słyszeć, i żegnała go tak, jakby się z nim na wieki miała rozłączyć.

— Synu mój, powiedziała w końcu, jeżeli wolą jest Boga, bym cię więcej nie widziała, pamiętaj pochować me zwłoki obok zwłok twego ojca; miło mi myśleć, że po śmierci nie będziem rozdzieleni.

— Co za przypuszczenia! zawołał Krzysztof, czemużbym cię więcej widzieć nie miał?

— Nie mówię ja tego z pewnością, dodała pani Strzemska, ale na wszelki przypadek pamiętaj o mojem życzeniu.

To powiedziawszy, raz jeszcze przycisnęła go do serca, a gdy już dosiadł konia i puścił się cwałem, chcąc obojgu próżnego oszczędzić żalu, matka go długo, długo jeszcze ścigała wzrokiem, i lubo dawno zniknął jej z oczów, patrzała ciągle w tym kierunku, czyniąc znak krzyża Śgo.

* * *

W kilka tygodni potem, rozległ się straszny głos po kraju: *Tatarzy! Tatarzy!* W istocie mnoga liczba Tatarów napadła nieszczęśliwą naszą ziemię; uciekali mieszkańcy okoliczni, opuszczając domy i włości; jedni się chronili do lasów, drudzy zdążali do miast i zamków obronnych.

Z pierwszą wiadomością o tym najeździe, ruszyły ku wspólnej obronie kraju załogi znajdujące się po zamkach większych panów, a każdy szlachcic z swej strony dosiadł konia i biegł własnemi piersiami zasłaniać ziemię ojczystą. Ale nim zgromadzone wojska zdołały się zebrać i uszykować, już Tatarzyn nie jeden splondrował dworzec, nie jedną włość spalił, i nie jednego uprowadził niewolnika. Nieproszeni ci goście zawitali i pod skromną strzechę pani Strzemskiej, a spaliwszy dwór mieszkalny, samą właścicielkę zabrali do niewoli. „Przyda się i ta baba“ powiedział jeden z nich, będzie służyć i przyrządzać strawę młodszym, pojmanym w jassyr kobietom.

Kasztelan Winnicki ruszył jeden z pierwszych z całą swą służbą i wszystką dworską młodzieżą na spotkanie pohańców, a Strzemski odznaczył się walecznością między wszystkimi towarzyszami; zaraz przy pierwszem spotkaniu z nieprzyjacielem, który z resztą unikał bitwy, dzielnie się popisał i wziął jakiegoś starszego do niewoli; ale nazajutrz sam ciężko został ranny, tak że go bez przytomności z pola bitwy przyniesiono. Skoro zaczął powracać do sił, wypytywał się o skutki najazdu, a dowiedziawszy się, iż główne zniszczenie nastąpiło właśnie w stronie gdzie mieszka jego matka, prosił Kasztelana, by mu pozwolił ją odwiedzić, i niebawem wyruszył w drogę.

Kraj, który przebiegał młody Krzysztof, był obrazem zniszczenia: wszędzie rozwalone i obdarte domy, kościoły bez drzwi i okien, wszędzie popalone wsie, wszędzie miasta bezludne. Smutno było patrzeć na przerzedzoną liczbę mieszkańców, co się tułali bez dachu i pożywienia, smutno było szukać przytułku, chyba w jakim na w pół spalonym budynku.

W miarę zbliżenia się do swych miejsc rodzinnych, Strzemski widział ślady coraz to większego spustoszenia, a gdy przejeżdżał przez najbliższe miasteczko, całe spalone i bezludne, serce mu się ścisnęło ze strachu, i nieśmiejąc już o nic pytać rzadkich przechodniów, zdążał co żywo do swej zagrody. Lecz jakiż straszny czekał go tam widok! Z daleka już dostrzegł, że krzyż nie świeci na wieży skromnego kościołka; dreszcz go przejął śmiertelny, gdy zbliżywszy się, ujrzał wyłamane drzwi i okna i powywracane ołtarze. Stanął, zsiadł z konia, przestąpił próg kościoła i padłszy na kolana zaczął się modlić gorąco, prosząc Boga, aby go natchnął siłą do zniesienia ciężkich cierpień, które go czekały; to bowiem zniszczenie

kościoła dowodziło mu jasno, że Tatarzy rozgospodarowali się w tej wiosce, a wiedział dokładnie jakie było ich gospodarowanie! To też wyszedłsy z kościoła, szedł zwolna ze spuszczoną głową ku stronie dworu. (C. d. n).

CZARNA SUKIENKA

(z francuskiego).

Dziadziu! to czarna sukienka! daj jasną!
Ja się tej boję.... Oh! nie proś daremno,
Boję, jak w wieczór, gdy świece pogasną,
I gdy w pokoju tak straszno.... tak ciemno!
Ja nie chcę czarnej!... bo na płacz się zbiera,
Mnie tak mateczka nigdy nie ubiera!...

Ubierz mnie dziadziu w sukienkę tak białą,
Jak mamę, gdy ją ubrali od święta,
Kiedy to przy niej świec tyle jaśniało,
I kiedy sobie spała uśmiechnięta....
Mnie powiedzieli, że mama z posługą
Poszła do Bozi, że wróci niedługo....

Nie płacz dziaduniu, bo płakać nie ładnie...
Daj buzi! mama połajać cię może...
Już będę grzeczna, choć w czarnej szkaradnie,
Kiedy chcesz włożę... no nie płacz! już włożę!
— Ale ją zdejmę, choć dziadzio pogrozi,
Jak tylko mama powróci od Bozi!!!

Jak to źle bawić się zapałkami.

Zdarzenie prawdziwe.

Ośmioletnia Rózia lubiła uczyć się pilnie czytania, rachunków i różnych wierszyków, — za to kochali ją rodzice, kochali ją wójciowie i wszystkie ciocie. Rózia dostawała od nich śliczne sukienki, ładne zabawki a czasem pomarańcze. O! co zabawki to miała bardzo ładne: trzy lalki w jedwabnych sukienkach, łóżeczka i kołyski dla nich; miała całą kuchnię, talerzyki i garnuszki drewniane i blaszane, i wiele innych ślicznych rzeczy. Jednakże Rózia nie była całkiem grzeczna, często nie słuchała Mamy i nieraz to robiła, co Mama nie pozwalała, a najbardziej lubiła się bawić zapałkami. Z początku przekładała tylko zapałki z pudełka do pudełka, lub rozsypywała je po ziemi i zbierała, lecz później próbowała je pocierać o ścianę. Mama często gniewała się za to, zakazywała Rózi ruszać zapałki, i stawiała je na szafie albo na piecu aby Rózia dostać nie mogła.

Razu pewnego Mama poszła do miasta za sprawunkami, odchodząc zostawiła Rózi różne rzeczy do zabawy: jabłka, bułeczkę z masłem, kawałek cukru i troszkę konfitur. Ucieszona Rózia pocałowała Mamę w rękę i przyobiecała, że będzie grzeczną. Jakoś gdy Mama odeszła. Rózia bawiła się bardzo grzecznie lalkami i nibyto gotowała dla nich obiad. Pokrajała jabłko, posypała cukrem, powkładała do garnuszków i postawiła garnuszki na ławeczce, całkiem jak na kuchni. Brakowało tylko ognia. Rózia obejrzała się wokoło, czy gdzie nie ma zapałek, ale wnet przypomniała sobie zakaz Mamy i przestała szukać.

— Ei, może Mama nie wróci tak prędko — rzekła sama do siebie. To powiedziawszy przystawiła krzesło do szafy, wlazła i póty szukała zapałek, aż je nakoniec znalazła. Potem prędko potarła i zapaliła papier pod swoją kuchnią. Wtem iskra padła jej na sukienkę i sukienka dymić zaczęła. Rózia się przelękła, chciała ugasić, lecz nie mogła. Już się wypalił kawał sukienki, Rózia w płacz. Poczęła wołać służącej na pomoc, lecz i ta wyszła gdzieś na chwilę; wołała Taty, ale i Taty nie było, wołała Mamy, ale i Mama nie przychodziła. Już i spodniczka tleć zaczęła, Rózię piekło okropnie i byłaby się niezawodnie cała spaliła, ale w tej chwili ktoś prędko drzwi otwiera i Mama wchodzi do pokoju. Gdy Mama zobaczyła, że się Rózia pali, krzyknęła z przestrachu, porwała Rózię na ręce, prędko zagasiła ogień, zaniosła ją do drugiego pokoju i położyła na łóżku.

Rózia miała okropnie poparzone ręce i nogi, nie mogła chodzić, ani się bawić. Dobra Mama po całych dniach i nocach siedziała przy łóżeczku Rózi, i aby jej się nie nudziło, opowiadała prześliczne historyjki. Za tydzień Rózia wyzdrowiała. O jakże się cieszyła, gdy po raz pierwszy wyszła na przechadzkę! Odtąd znowu bawiła się i biegała jak dawniej, ale już nigdy nie ruszała czego jej Mama ruszać nie pozwoliła, i nigdy nie zapomniała, jak to źle bawić się zapałkami.

Rozmaitości.

Błogosławieństwo na drogę. Zawsze z Bogiem poczynający wszystko przodkowie nasi, udając się na wyprawę i przed każdą większą zwłaszcza podróżą, polecali się Panu Bogu, modlili się sami, i brali od kapłana błogosławieństwo na drogę. Po wysłuchaniu mszy świętej, przedsiebiorący podróż, mając na sobie krucyfiks, obrazek lub relikwije, w towarzystwie rodziny lub krewnych, klękał przed ołtarzem a za nim wszyscy domownicy, dzielić ją mający, lub też żegnający odjeżdżającego pana; wtedy kapłan odwracał się do klęczącego, czytał modlitwy stósowne, pokropił wodą święconą, udzielał błogosławieństwa na drogę, często przemówił rzewnie do puszczającego się w podróż, dał mu krzyż lub patenę do pocałowania — i na tem kończył się pobożny obrządek.

Pogrzeby u Chińczyków.

Dziwny to naród ci Chińczycy! Pełno u nich takich zwyczajów i obrzędów, które dla nas, jako niezwykłe lub nadzwyczajne, podziw a częstokroć śmiech by wywołały, chociaż te zwyczaje i obrzędy piękną i szlachetną nieraz mają podstawę. Posłuchajcie np, — jakie ich są zwyczaje pogrzebowe.

— Cześć, jaką Chińczycy oddają za życia swym przełożonym i naczelnikom, wpływa bardzo na charakter ich obrzędów pogrzebowych. Umierającego przenoszą zazwyczaj do najlepszego i najparadniejszego pokoju, lub do kaplicy domowej. Głowę jego obracają na wschód, a twarz pokrywają mu lekką tkaniną, aby łatwiej wiedzieli, kiedy oddychać przestanie; niekiedy kładą mu w usta drobną monetę, jakby dla opłacenia się owemu przewoźnikowi, który przez rzeki dzielące świat od krain podziemnych, ma go na czółnie tamże przewozić; czasami taką monetę wrzucają do rzeki, z której czerpano wodę do obmycia zmarłego. Niekiedy robią naprędce dziurę w suficie, aby dusza tem łatwiej miała którędy ulecieć.

Zmarłego w ubraniu kładą do trumny szerokiej i ciężkiej, pomalowanej olejem i wapnem. Przy trumnie stawia się zazwyczaj portret nieboszczyka, w najwytworniejszem ubraniu, a obok płaszcz zielony; na dużym stole, raczej ołtarzu domowym, złożone są ofiary i goreją świece zielone; tabliczka przy portrecie umieszczona nosi napis uwiadamiający, że za panowania takiej a takiej dynastji, dostojna dusza takiego a takiego dostojnika opuściła ziemię.

Rodzina przywdziewa wielką żałobę białą, lub żółtą, albo też białą w żółte pasy. Wdowa na głowie nosi chustkę białą, syn przez cały czas żałoby nosi biało-żółte trzewiki i żałobną laskę. Żałoba taka trwa trzy lata, lub najmniej dwadzieścia siedem miesięcy. Przyjaciele i krewni przybywają na pogrzeb w sukniach białych lub żółtych i w kapeluszach biało ubranych, i z kolei wszyscy jeden po drugim klękają na kobiercu zielonym z czarnemi obwódkami, oddając pokłon rysom nieboszczyka na portrecie.

Następnie wyprawiają dla grona przyjaciół i krewnych stypę pogrzebową, przy której bardzo wiele piją. Podczas tej uczty palą papiery naśladujące sztaby srebra, monetę papierową, konie, odzież i inne przedmioty z papieru, jakie życzonoby posiadać zmarłemu na tamtym świecie.

Dwa razy do roku, na wiosnę i jesień, jest zwyczaj nawiedzania grobów, na które bogatsi przynoszą zwykle pięć ofiar: wieprza, kurę, kaczkę, gęś, rybę, pięć talerzy owoców, wódkę i t. p. Stawiają to na grobie, kłaniają się i modlą do zmarłego. Obrzęd ten nazywa się: Zamiataniem grobu.

Fryderyk VI, król Duński, zwykł był często wyjeżdżać na objazd szkół wiejskich. Zaszedł razu jednego do skromnej szkółki, której uczniowie dobrem zachowaniem się i pilną uwagą przyjemne zrobili na nim wrażenie. „Powiedz mi“ — zagadnął król któregoś z uczniów — którzy z monarchów duńskich zasłużyli na imię wielkich? „Grom Stary, Kanut, Waldemar, Wielki, i Chrystjan czwarty“ — odpowiedział uczeń. Któryś z uczniów, któremu nauczyciel podszepnął coś nowego, wygłosił z nienacka: „Fryderyk szósty“. A cóż on takiego wielkiego dokonał? zapytał zdziwiony monarcha. Zamilkł uczeń i płaczliwym odrzekł głosem: Ach nie wiem! Uspokuj się mój chłopcze, bo i ja nie wiem, rzekł śmiejąc się monarcha. — Wtedy nauczyciel rozkazał powstać wszystkim uczniom i wzruszonym rzekł głosem: Najmiłościwszy królu! ty jeden największych dokonałeś spraw, bo się opiekujesz szkołami i troskasz o dzieci twych poddanych. Oby cię Pan Bóg błogosławił za to — a twoi poddani miłość i wdzięczność okazali! Czyż to nie największa zasługa i radość panować krajowi, co ma oświeconych poddanych? A tobie Najmiłościwszy królu trzeba za to dziękować i twe imię wysławiać!

Rozrzewniony Fryderyk VI opuścił izbę szkolną, przyrzekając przysłać niebawem dla szkółki i wiele książek i map, których dotąd nie było. — Zaiste prawdziwy król-ojciec!

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **A. Kisielewski.** Z drukarni K. Pillera.